

Georg Brandes

**Polska (fragment)<sup>1</sup>**

tłum. Zygmunt Poznański

III

W zaborze rosyjskim ucisk, który od czasu rozbioru zawisł nad Polską, doszedł w chwili obecnej do zenitu. Prasa ma usta zakneblowane do tego stopnia, że nawet wykazywanie bezzasadności argumentów w mowach Bismarcka i w ogólności ich krytyka są zakazane. Bezwarunkowo nie wolno dowodzić, że polska agitacja, którą wedle oświadczenia żelaznego księcia należy zwalczać, polega tylko na niezłomnej chęci utrzymania swego języka i narodowości wobec zdobywców, którzy dla osiągnięcia swych celów rozporządzają całym aparatem państwowym i całą jego potęgą.

Usiłowania rządu w zaborze rosyjskim są, jak już wzmiankowaliśmy, skierowane szczególnie na dwa punkta: rusyfikację własności ziemskiej i wytępienie języka polskiego.

Ukaz z r. 1865, o którym poprzednio już była mowa, zabronił Polakom na Litwie, Ukrainie, Wołyniu i Podolu, zapisywać testamentem majątki ziemskie komukolwiek innemu, prócz legalnych spadkobierców.

W Królestwie Polskim wolno jeszcze mówić na ulicach po polsku oraz drukować ogłoszenia w tym języku, pod warunkiem, że nad polskim tekstem umieszczony będzie i rosyjski. Ale w pozostałych częściach zaboru rosyjskiego, wszędzie, gdzie w klasie wykształconej panuje jeszcze polski język i kultura, znaleźć można na wszystkich publicznych budynkach,

---

<sup>1</sup> Podstawa wydania: J. Brandes, *Polska. Spostrzeżenia i rozmyślenia*, tłum. Z. Poznański, Lwów 1900.

z zewnątrz i wewnątrz, ogłoszenia z napisem: По польски говорить воспрещается (po polsku rozmawiać nie wolno). Przekroczenie tego zakazu bywa surowo karane, a każdy urzędnik, nawet najniższy, który by przemówił słów kilka po polsku, choćby w odpowiedzi na polskie zapytanie, choćby do osób, nie znających żadnego innego języka, ulega wysokiej grzywnie albo otrzymuje dymisję. Pewien konduktor tramwajowy został niedawno skazany na 25 rubli kary (jest to więcej, niż wynosi jego miesięczna pensja) za to tylko, że na polskie zapytanie dał odpowiedź w tymże języku.

Wyobraźmy sobie teraz następującą scenę w instytucjach sądowych zaboru rosyjskiego: Sędzia śledczy, bardzo często rodowity Polak, z trudem tylko i to kiepskim akcentem mówiący po rosyjsku, indaguje w tym języku oskarżonego, polskiego włościanina, który nie rozumie ani słówka z tego, co mówi sędzia. Występuje tedy na scenę tłumacz. Na jego zapytanie podsądny odpowiada po polsku. Znowu tłumacz słowa podsądnego przekłada na język rosyjski, aczkolwiek, rozumie się, jest to zupełnie zbyteczne. I tak dzieje się z każdym pytaniem i odpowiedzią, ponieważ ani sędziemu śledczemu, ani podsądnemu nie wolno mówić po polsku. A, dalej, prokurator oskarża, adwokat zaś broni podsądnego w języku, którego ten ostatni wcale nie rozumie.

Królestwo Polskie, gdzie mieszkańcom wolno jeszcze pomiędzy sobą rozmawiać po polsku i gdzie od początku już bieżącego stulecia stosunki cywilne reguluje kodeks Napoleona, wydaje się ludności pozostałych części zaboru rosyjskiego, w porównaniu z jej własnym krajem, niby rajem wolności. Z Wilna jedzie się raz w rok do Warszawy, aby odetchnąć swobodniej przez kilka tygodni.

Kto pozna stosunki w tym „raju wolności”, może wnosić, jak się dzieje w tamtych prowincjach.

Zacznijmy od wychowania dzieci. Rodzice trzymają zarówno dziewczęta, jak i chłopców, o ile można, najdłużej w domu, z dala od szkoły, uczą ich sami lub przez nauczycieli, ażeby pierwsze wiadomości wpoić dziecku w języku i duchu polskim. Już z piersi matczynej ssie dziecko lekceważenie i namiętną nienawiść do wszystkiego, co rosyjskie.

Wszystko, co dziecię słyzy w pierwszych latach swego życia, potęguje jeszcze te uczucia. Mówią mu tyle szczytnego i dobrego o wysokiej kulturze i wielkim męstwie rodaków, że mimo woli wszystko, co jest wielkie i szczytne, przypisuje ono Polakom. „Czyż to być może, żeby Kolumb nie był Polakiem?” zapytał w mojej obecności pewien chłopczyk swej matki. Natomiast z reguły wszystko, czego dziecko dowiaduje się o Rosjanach albo czego od nich doświadcza, jest złe albo zostaje mu przedstawione w niekorzystnym dla nich świetle. Rosyjscy oficerowie zachowują się w miejscach publicznych przyzwoicie; zazwyczaj spotyka się ich w pojedynkę, rzadziej po kilku. W wojsku rosyjskim nie ma, jak w innych, zwyczaju, aby oficerowie przy spotkaniu salutowali się wzajemnie. Zachowanie się ich nie ma w sobie nic zuchowatego, raczej są oni do pewnego stopnia zażenowani, czując, iż nikt na nich jako na przedstawiciele panującego plemienia łaskawym okiem nie spogląda. Ale uniform jest tak niepopularny, że Polacy tego skromnego postępowania nie tłumaczą szlachetnymi pobudkami; uważa się je raczej za objaw poczucia własnej duchowej niższości. A gdy się jeszcze zdarzy wypadkiem, że przy odjeździe z publicznego balu, powóz rosyjskiego generała naruzy kolej i zajędzie przed innymi, już w całej pełni budzi się w publiczności poczucie tego, że się żyje w kraju zdobytym przez wroga.

Jest, rozumie się, w Warszawie rosyjska kolonia, ale nie ma rosyjskiego „towarzystwa”, gdyż między przebywającymi tam Rosjanami, zachodzą zbyt wielkie różnice stanowe, które uniemożliwiają wszelką równość towarzyską. A rosyjscy urzędnicy cieszą się tutaj, jak zresztą i wszędzie, nieszczerólną reputacją. Należy przy tym pamiętać, że porządniejsi Rosjanie nie przyjmują stanowisk urzędowych w Polsce, nie chcąc pełnić funkcji tak znieawidzonych przez Polaków.

Przed kilkoma laty pewien rosyjski uczoney został mianowany profesorem zoologii na uniwersytecie warszawskim<sup>2</sup>. Oglądając po przybyciu uniwersytecki gabinet zoologiczny, zwrócił uwagę, że nazwy zwierząt na okazach były tylko w języku łacińskim i rosyjskim. „A po polsku?” zapytał.

<sup>2</sup> Chodzi oczywiście o Cesarski Uniwersytet Warszawski, otwarty w 1870 r. po zamknięciu przez władze Szkoły Głównej.

Wówczas rektor uniwersytetu objaśnił nowego profesora, że został on powołany do Warszawy nie w tym głównie celu, aby uczyć studentów zoologii, bo czy tam więcej lub mniej się uczą, to rzecz stosunkowo podrzędna, ale przede wszystkim po to, aby szerzył rosyjską propagandę. Profesor zapytał jeszcze, kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Petersburga i natychmiast opuścił Warszawę. Znany jest również fakt, że najlepsza rosyjska artystka dramatyczna oświadczyła, iż nie pojedzie z cesarską trupą na występy do Warszawy, dopóki się nie nauczy po polsku.

Ale to są wypadki rzadkie, wyjątkowo rzadkie.

Natomiast częste są wypadki wprost przeciwnego gatunku, które dziecko każde codziennie widzi lub o których w domu słyszy. I dlatego nienawiść ku Moskalom staje się częścią jego natury.

Ale oto pewnego dnia dziecko to przychodzi do szkoły, tj. zostaje oddane do rąk rosyjskiego państwa, rosyjskich nauczycieli. W domu ubierała je matka w strój narodowy, w którym nie wolno się pokazać na ulicy; w domu oglądało ono ryciny i obrazki, przedstawiające sceny z dawnej polskiej historii, z epoki powstań w bieżącym stuleciu, z pobytu Polaków na Syberii, – słowem poznało dokładnie cały żywot Polski. W szkole przyodziewają malca w rosyjski uniform, przemawiają doń tylko po rosyjsku, nie wolno mu wymówić ani słowa po polsku, nie słyszy on nic o Polsce, ani o polskiej literaturze, chyba jako o czymś zakazanym, złym. Wpajają tu w chłopca, że jest Rosjaninem i tylko Rosjaninem. Co za zamęt w duszy dziecięcej! Chłopiec zmuszony jest uciekać się do obłudy i skrytości. W duszy jego posiano już ziarna przekory i panowania nad sobą, fałszu i chytrności. I naturalnym biegiem rzeczy przychodzi teraz kolej na rozpaczliwe pytania, czy opór zda się na co, czy istnieje na świecie sprawiedliwość?

Szkoły są złe. Nauka wszystkich przedmiotów odbywa się w języku obcym, na poznanie którego traci się stosunkowo wiele sił. Ten przymus językowy budzi w uczniach pewną niechęć do nauki a w połączeniu z przekonaniem, że nauczyciel to człek obcy i wróg, w wysokim stopniu utrudnia ich postępy. Mała tylko ilość studentów rozumie i potrafi porządnie mówić po francusku; są wprawdzie tacy, którzy uczą się gorliwie

języka niemieckiego, ale większość z trudnością czyta książki w obcych językach, a wielu nie rozumie najprostszego zdania po francusku lub niemiecku. Zamożniejsi wyjeżdżają na studia za granicę; jeżeli nie uda im się otrzymać pozwolenia władzy, wówczas udają się raczej do Petersburga. Tu są mniej skrępowani i mają lepszych profesorów, aniżeli w Warszawie, gdzie uniwersytet znajduje się w stanie opłakanym.

Ponieważ uniwersytet ten za jednym zamachem przerobiono z polskiego na rosyjski, profesorowie, nie znający języka rosyjskiego, zażądali dymisji. Niektórzy pozostali jednak, po większej części z pobudek patriotycznych. Z wolna przecież oczyszczano uniwersytet, zastępując polskich profesorów Rosjanami albo po rosyjsku myślącymi Polakami. Ogłoszono przepis, że każdy profesor po 25-ciu latach służby, idzie na emeryturę, jeżeli fakultet nie życzy sobie zatrzymać go nadal. Wybitnego Polaka nie zatrzymuje się nigdy. Tak, przed rokiem poszedł na emeryturę najlepszy profesor fakultetu lekarskiego Baranowski, z powodu podeszłego wieku, aczkolwiek nie liczył on więcej nad 50 lat i był w pełni swych sił umysłowych. Gdy obsadzano katedrę historii literatury polskiej, pominięto Piotra Chmielowskiego<sup>3</sup>, zasłużonego i gruntownego znawcę tego przedmiotu, a powołano niejakiego Wierzbowskiego, jako jedyne kandydata, który zgodził się wyklądać w języku rosyjskim. To też musi on poprzestawać na trzech słuchaczach.

Sale wykładowe są tak szczupłe, że żadna nie mieści więcej nad sto osób i żadna nie jest nigdy pełna.

Studenci uniwersytetu muszą tak samo, jak uczniowie gimnazjalni, nosić uniformy i są pod ścisłym nadzorem. Nie wolno im, rozumie się, tworzyć żadnych korporacji. Nie wolno im nawet na ulicy zbierać się gromadnie, a jeżeli schodzą się częściej w jakim lokalu prywatnym, po sześciu, siedmiu, to z pewnością ktoś o tym doniesie władzy i kara ich nie minie. Nikt niepostrzeżony nie może wejść do domu, ani zeń wyjść.

---

<sup>3</sup> Piotr Chmielowski (1848–1904), krytyk ze środowiska warszawskich „młodych”, historyk literatury, autor syntezy literatury. Wielokrotnie wypowiadał się na tematy narodowe; był więziony przez władze carskie w warszawskiej Cytadeli. W 1882 r. nie przyjął Katedry Literatury Polskiej na UW, nie chcąc zgodzić się na obowiązkowe wykładanie w języku rosyjskim.

Nikt nie ma klucza od bramy wchodowej, a żadna z instytucji krajów północnych nie budzi takiego podziwu u mieszkańców zaboru rosyjskiego, jak ten właśnie klucz od bramy. „I rząd na to pozwala?” zapytują ze zdumieniem. Każdy, nawet właściciel domu, musi, wracając w porze spóźnionej do domu, dzwonić u bramy na stróża, który nie tylko czuwa nad bezpieczeństwem lokatorów, ale pełni ponadto funkcje policyjne.

Studenci są po największej części skazani na studia o własnych siłach, bez pomocy profesorów, ale i to jest utrudnione. Masa słynnych dzieł w językach obcych, zarówno jak i najważniejsze utwory literatury ojczystej są zakazane. Trzeba je przemycać z zagranicy, a skutek tego są one o wiele droższe i, przede wszystkim, niebezpieczne. Nic zatem dziwnego, że wśród inteligentniejszej młodzieży jest wielu z bardzo opozycyjnymi przekonaniami.

Nie znajdziesz między nimi nihilistów; ani nazwa ta, ani rzecz sama nie są w Polsce znane. Najpostępowsza młodzież dzieli się na dwie grupy. Jedna nosi nazwę demokratów, druga – socjalistów. Demokraci hołdują mniej więcej tym poglądom, których broni „Prawda”<sup>4</sup>. Ale główne ich dążenia są nie tyle społecznej i politycznej, ile czysto intelektualnej natury. Są to pierwsi wolnomyśliciele w bieżącym stuleciu w Polsce. Ponieważ zaś katolicyzm i władza duchowna z dawna mają w Polsce oporę w arystokracji, tej przedstawicielce narodowej tradycji, ponieważ, dalej, prasa tej arystokracji, zwłaszcza zaś dziennik „Słowo”<sup>5</sup>, jest organem katolicyzmu, przeto idee wolnomyślne łączą się w jedno z demokratycznymi dążnościami i celami.

Młodzież, należąca do obozu demokratycznego, z zapałem krzewi w Polsce wszelkie współczesne poglądy i idee, teorie i dzieła. Nawet trywialne protesty Nordau’a<sup>6</sup> znalazłyby chętnych tłumaczy, gdyby je

<sup>4</sup> „Prawda” – warszawski tygodnik „postępowy”, wychodzący od 1881 r. pod redakcją Aleksandra Świętochowskiego, uznawanego za lidera inteligencji podejmującej zadanie modernizacji polskiego społeczeństwa.

<sup>5</sup> „Słowo” – warszawski tygodnik, pismo „młodych konserwatystów”, jego redaktorem naczelnym był w latach 1882–1887 (z przerwami) Henryk Sienkiewicz.

<sup>6</sup> Max Nordau (1849–1923), węgierski pisarz pochodzenia żydowskiego, lekarz i filozof, krytyk patologii współczesnej „zwyrodniałej” cywilizacji. W 1883 r.